



Wielka gwiazda lat 70. Jej melodyjne „Wymyśliłam cię”, „Gondolierzy znad Wisły” czy „Odptywają kawiarenki” nuciła cała Polska. Jak była, tak zniknęła. Od osiemnastu lat mieszka w niewielkim mieście w Teksasie. Ale choć przyznaje, że Ameryka wiele ją nauczyła, to dusza artystki pozostała słowiańska.

Na emeryturze zamierzam tańczyć

Łieply głos, wielkie niebieskie oczy, filmowa uroda. Od lat mieszka z rodziną w Lubbock, na teksańskiej prerii, ale niedawno i w Warszawie kupiła mieszkanie. Jest esteta, więc urządza je rozważnie, powoli. Pokochała je.

Blisko las, Wisła. – Czy wracam na dobre? Kto wie? Coraz poważniej o tym myślimy. Człowiekowi ciągle czegoś brakuje. Mnie – wszystkiego, co polskie – w głosie Ireny Jarockiej czuć nutkę nostalgii. – Życie mnie jednak nauczyło, że jeśli czegoś nie zrobisz dziś, to będzie jeszcze jutro, pojutrze... a jeśli się nie uda? Trudno!

Jej życie to dwa światy. Jeden prywatny, na luzie, raczej skromny. Drugi to scena, na której staje się uwodzicielska, niemal ekstrawagancka. – Mam w sobie pokorę i wiem, że nie jestem ponad ludźmi, dla których śpiewam. W końcu wszyscy mamy takie same problemy.

Zrządzenie losu

Do USA wyjechała w 1990 r. za mężem Michałem, naukowcem, dziś już profesorem informatyki w Texas Tech University. – Jesteśmy razem od 28 lat – mówi z błyskiem w oczach. – I jest coraz piękniej. Wciąż nam blisko do siebie. Jak dawniej celebrowaliśmy walentynki. Chodzimy wtedy na kolację do jednej z moich ulubionych restauracji. Na prawdziwy teksański befsztyk – przez 20 lat byłam wegetarianką, aż pewnego dnia poczułam, że mam wielką ochotę na rybę, potem doszło białe mięso. Dojrzałam do zmiany – uśmiecha się.

Michała poznała w Leningradzie, w 1968 r., podczas swego pierwszego zagranicznego tournée. On studiował na tamtejszej politechnice. Miły, przystojny, czytany. Oprowaździł piękną piosenkarkę po mieście, po Ermitażu. I tyle. Ale po jej powrocie do Polski zaczęli do siebie pisywać. On wierszem. Dziewięć lat później spotkali się przypadkiem w Sali Kongresowej. Umówili na kawę. Raz, drugi... – Wkrótce zaprosił go na koncert z okazji 25-lecia Polskich Nagrań, na którym śpiewałam. Gdy potem Michał odwoził mnie maluchem do domu, uderzył w nas samochód. Wyleciałam przez przednią szybę i byłam cała pokiereszowana. Michał miał tylko rozciętą brew. Codziennie odwiedzał mnie w szpitalu. Dzięki temu wypadkowi zatrzymałam się, przyjrzałam sobie, życiu – wspomina. Jej ówczesne małżeństwo, z kompozytorem Marianem Zacharewiczem, przechodziło kryzys.

Po latach powie, że ich miłość zgubiło zatracenie się w pracy. – Leżąc w szpitalu, zrozumiałam, że żyję w jakiejś gonitwie. A gdy odwołałam koncerty, świat się... nie zawalił! Zatekniłam za rodziną, spokojem. Spotkanie z Michałem było zrządzeniem losu. Odmienił mnie swoim spokojem, siłą wewnętrzną, pogodą ducha. Gdy panikowałam, przytulał i pocieszał. Jest między nami równowaga: ja fruwać, on ściga mnie na ziemię – śmieje się.

Przemiany

Kiedy się nie widzą, rozmawiają przez Skype'a. Ona z nieodłącznym kubkiem zielonej herbaty long jin, którą mąż specjalnie dla niej sprowadza z Chin. – Najszczęśliwszy dzień życia? Urodzenie naszej córki. Cięża była zagrożona, potem mała chorowała na salmonellę... Przy niej nauczyłam się cierpliwości – wspomina. – Dziś Monika ma 25 lat, skończyła w Stanach studia i zajmuje się reklamą i stroną internetową dużej biblioteki na Texas Tech University.

Ale amerykańskie początki dla artystki były koszmarem. – Tęskniłam za Polską. Moją publicznością, Warszawą, teatrami, przyjaciółmi, zapachami i smakami... Jestem romantyczką. Jak coś przeżywałam, to głęboko. Odechciało mi się cokolwiek robić. W Stanach trzymała mnie rodzina. I choć zawsze chciałam mieć dla niej czas, to gdy wreszcie go miałam, okazało się, że siedzenie w domu mnie zabija – wspomina. Straciła głos. „Niech pani jak najczęściej odwiedza Polskę” – doradził lekarz. Pojechała z córką. Znowu była gwiazdą, udzielała wywiadów. Kiedy wróciła do Stanów, zaczęła śpiewać. Dziś z koncertami jeździ po całym świecie. Śpiewa polskie przeboje i światowe standardy. W osmiu językach! – Ale żeby wyjść na prostą, musiałam

„Opiekowałam się młodszymi braćmi. Czasem mieszkaliśmy w domu dziecka. Bywało, że znajoma zbierała dla naszej rodziny chleb od sąsiadów.”

wiele w sobie zmienić. Przez lata byłam niezłą masochistką. Uważałam na przykład, że warto cierpieć, bo to pomaga głębiej interpretować piosenki. Po lekturze książki Louise Hay „Możesz uzdrowić swoje życie” polskie malkontentstwo zamieniłam na pozytywne myślenie. To ważne, bo wtedy nie wiedziałam, co robić. Zostać w Stanach czy wracać do kraju i kariery? Tyle że bliscy byli dla mnie najważniejsi – tłumaczy.

Ameryka nauczyła ją luzu. W Polsce jako gwiazda zawsze musiała być „zrobiona”. Do Stanów przyjechała z walizką



► eleganckich ubrań i szpilek. – Pamiętam, jak wybrałam się w nich na mój pierwszy spacer, a szłam po kamienistej drodze. Nie miałam jednej pary adidasów! Dziś biegnę na aerobik w dresach, bez makijażu. I lubię siebie taką.

Przynajmniej, że z początku miała o Amerykanach nie najlepsze zdanie. Że niezbyt inteligentni, bez wielkiej historii, takiej, jaką mają Polacy. – Ale z racji pracy męża zaczęłam obracać się w środowisku uniwersyteckim, pełnym ludzi z całego świata. Zauważyłam, że Belgowie, Hindusi, Niemcy też się stawiają ponad. Bo to sposób, by zostać sobą w tej wieży Babel. Z czasem przekonałam się do Ameryki, która daje szansę każdemu, by się rozwijał, uwierzył w siebie. Kocham tamtą przyrodę. Ludzie są sympatyczni.

Kiedy jest w Polsce, brakuje jej tamtejszej przestrzeni, która uskrzydla, wypieszczonego domu, kawiarni Starbucks, gdzie zawsze zamawia green tea latte. Ale kiedy jest w USA, tęskni za Polską. Nazywa się wariatką-patriotką. – Gdy w 1996 r. nie zaproszono mnie na koncert Przebój Opery Leśnej, bo „zagraniczna piosenkarka z amerykańskim obywatelstwem (a mam je od 1999 r.!) nie może wystąpić na koncercie polskich artystów”, poczułam, jakbym dostała w twarz.

Tyle przede mną!

Mówi, że teraz jest wręcz pазerna na życie. Wszystko ją ciekawi. W 2000 r. zagrała jedną z głównych ról w sztuce Sławomira Mrożka „Piękny widok” w Teatrze Polskim w Waszyngtonie, wzięła udział w promocji zdrowia kobiet w Polsce, w 2003 r. założyła fundację Poland-USA Promotion, która prezentowała osiągnięcia Polski specjalną wystawą w największych amerykańskich miastach. Dwa lata temu współorganizowała pierwszy Discovery Poland Festival w Santa Monica. – Amerykanie kojarzą nas głównie z cepelią; polską kielbasą, rękodziełem, babcią w chustce. Chciałam im pokazać współczesny kraj. W wielu dziedzinach – jak wzornictwo, moda, architektura – jesteśmy w światowej czołówce. Festiwal wciągnął mnie tak bardzo, że zawiesiłam pracę artystyczną. Nawet domowe obowiązki poszły na bok.

Ma w sobie entuzjazm nastolatki. Marzy, że kiedy znajdzie czas – na emeryturze? – będzie tańczyć, malować pejzaże, nauczyć się hiszpańskiego. Wychowana w Gdańsku, przywyczajona do „płaskiego” krajobrazu, teraz z przyjemnością chodzi po górach. Lęk wysokości, na który zawsze cierpiała, pokonała, schodząc do Wielkiego Kanionu. Ma i inne pasje: sploty rwącym nurtem i wodospadami na pontonie. – Podczas niedawnej wyprawy na dno kanionu Colca w Peru dotarliśmy do małej wioski, gdzie pamiętano polskich kajakerzy, którzy jako pierwsi przepłynęli ten kanion 25 lat temu. Zapropnowano mi, żebym została matką chrzestną jednego z tamtejszych mal-



„Spotkanie Michała było zrzędzeniem losu. Dotąd żyłam w jakiejś gonitwie. I nagle zobaczyłam, że odwołałam koncert, a świat się wcale nie zawalił!”

ców – mówi z dumą. – Kontakt z pięknem przyrody uczy pokory i dystansu do szarej codzienności, odkrywa nasze wnętrza.

Paryska szkoła życia

Jednak pierwszym przełomem w jej życiu był wyjazd do Paryża. – Choć miałam dwadzieścia parę lat, to tam psychicznie postarzałam się o 60! – śmieje się. Śpiewała w rosyjskim kabarecie „Chez Raspoutine”, czując się często jak dodatek do menu. Przez jakiś czas mieszkała w pokoju wynajętym w zamian za prowadzenie gospodarzom domu. Przez kiepski kontrakt z producentem kariery we Francji nie zrobiła. Przepadła jej szansa współpracy z Charles'em Aznavourem. Przeżyła depresję. Wkrótce potem – próbę samobójczą. Polski Urząd Bezpieczeństwa próbował ją wtedy zwerbować. Obiecywano, że za donosy na kolegów rozkręca jej karierę w kraju. Odmówiła.

– Do Paryża jechałam na trzy miesiące. Wróciłam po 5 latach. Chciałam być tam tak długo, aż dorzeję jako piosenkarka – tłumaczy. Po powrocie narosły wokół niej plotki. – Słyszałam, że skoro wróciłam z tego gniazda rozpusty, to pewnie też taka jestem. Posadzono mnie o podwójne życie, że na Mazurach ukrywam nieślubnego syna...

Musiła stawiać opór liczny podrywaczom. W branży robiono nawet zakłady: komu się uda przepaść z Jarocką... Atmosferę wokół siebie dodatkowo podgrzała, śpiewając „Motylem jestem” i pojawiając się jako Irena Orska w filmie Jerzego Gruzdy „Motylem jestem, czyli romans 40-latką”. Publiczność obraziła się. – Wzięto mnie za femme fatale, która rozbija rodziny Karwowskiego. W filmie jest scena, gdy podaję mu kartkę z „moim” numerem telefonu. Okazało się, że... taki naprawdę istnieje! Dwa lata temu dostalam od jego właściciela, fotografa, e-mail. Spotkaliśmy się. Okazało się, że ludzie przez lata dzwonili, prosząc do telefonu Jarocką lub Orską. Było mi miło, gdy pan wyznał, że nigdy mu to nie przeszkażdało.

Zahartowana

Dziś ma dystans do siebie, do branży. – Będąc na topie, drżałam, czy puszcza moje piosenki, pokażą w telewizji. Dziś – owszem – chcę być, bo dalej czuję się potrzebna ludziom, ale już nie jako pierwsza. – Liczy się to, że mam życiową stabilizację. Jestem szczęśliwa, a ewentualne niepowodzenia odbieram jako lekcję życia. Przecież wszystko, co nas spotyka, dzieje się w jakimś celu. Ma sens.



„Ilu plotek się nasłuchiwałam na swój temat! Że jestem femme fatale, która rozbija rodziny Karwowskiemu, że prowadzę podwójne życie, że gdzieś na Mazurach ukrywam nieślubnego syna...”

► Częste przeprowadzki i w Polsce, i w Stanach, występy i w pięknych salach, i w podrzędnych klubach nauczyły ją odnajdywać się w każdej sytuacji. – W latach 80. w Buffalo impresario, chcąc zaoszczędzić na hotelu, umieścił cały zespół gwiazd z Polski w schronisku dla bezdomnych! – opowiada ze śmiechem.

Wyżyła się kompleksów z dzieciństwa: że za cienie nogi, za krótkie rzęsy, myśli kolor włosów. Kiedyś ktoś rzucił, że jest zgrabna. „Może nie jest tak źle?”, pomyślała zaskoczona. Kiedy już jako gwiazda w programie „Irena Jarocka zaprasza” wystąpiła w półprzezroczystej bluzce i bez biustonosza, powiało sensacją. Ale ludziom się podobało. – Zawsza słyszałam: „Jaką miałaś śliczną bluzeczkę”. Lecz po tym nabawiłam się uprzedzeń! Bo zamiast uwag, że dobrze śpiewam, mówiono tylko o wyglądzie – śmieje się.

Zostaje dzieciństwo

Wrażliwiec. Długo nie mogła w siebie wierzyć. Nawet w wywiadach wolała mówić o niepewności niż sukcesach. Dziś tłumaczy to trudnym dzieciństwem. Wychowała się w Gdańsku-Oliwie. W biedzie. Bywało, że znajoma zbiegała dla jej rodziny chleb od sąsiadów. Mała Irenka częściej bawiła się pudełkami od zapalek i własnymi dłońmi niż zabawkami. Tata był

szewcem ortopedą. I alkoholikiem. Mama poważnie chorowała na astmę. – Gdy była w szpitalu albo sanatorium, jako najstarsza z rodzeństwa opiekowałam się trzema młodszymi braćmi. Urwisami. Zdarzało się, że zabierano ich do domu dziecka... Bracia już dawno rozproszyli się po świecie. Henryk mieszka w Lebie, Tadeusz w Niemczech, Waldemar w Kanadzie. Ostatni raz w komplecie widzieliśmy się siedem lat temu, na pogrzebie taty.

Przez trudne dzieciństwo nauczyła się cieszyć najmniejszymi drobiazgami. Ma szacunek dla biednych. Ale także strach przed ubóstwem. – Nie lubię się zadłużać ani prosić o pieniądze – zamyśla się. Trudne chwile zaszczyliły w niej też ambicję bycia Kimś. Upór. I chęć ucieczki z PRL-owskiej szarzyzny. Nigdy jednak nie sądziła, że to właśnie głos będzie przepustką do piękniejszego świata. Muzykę kochała od dziecka. Mama, która jako pierwsza zachwycała się jej śpiewaniem, chciała, by córka rozwija-

ła ewidentny talent. Widziała ją na scenie jako wielką gwiazdę. – Być piosenkarką? Czy z takiego niepoważnego zawodu da się wyżyć? – zastanawiała się młodziutka Irena. Wrażliwa na rzeczy piękne, ale i praktyczna, złożyła dokumenty na architekturę. Nie udało jej się – zabrakło kilku punktów. Zrozpaczona, poszła do studium nauczycielskiego wychowania fizycznego i biologii. Ale śpiewanie i tak zwyciężyło.

Kilka razy do roku przyjeżdża do Polski. Dużo koncertuje. Przypomina się swojej dawnej publiczności, zjednuje nową, coraz młodszą. W wydanym niedawno wywiadzie-rzecz opowiada swoją historię jak z bajki. O skromnej dziewczynce, która została gwiazdą. Jesienią pojawi się jej nowa płyta. – Wymarzona – mówi – pełna melodyjnych utworów z dobrym tekstem. Jeżdząc po Polsce z koncertami, spotykam się z wielką życzliwością ludzi, czuję, jak bardzo moja piosenka jest potrzebna młodym i starszym. I jak tu nie być szczęśliwą?